

East Malvern, Australia, 14 maja 1962

Szanowny Panie Redaktorze!

Warszawski miesięcznik „Hejnal” z kwietnia br. zamieścił na str. 15 notatkę oraz przedruk fragmentu jednego z moich artykułów. Notatka ta, zatytułowana „Mówi Pan Lech Paszkowski”, brzmi: „Młody polski socjolog Lech Paszkowski, kierownik rządowego zespołu badań naukowych nad problemami adaptacji imigrantów w Australii i autor studium „Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940”, pisze w artykule rozesłanym do wielu pism polonijnych...”

W związku z tym byłbym Panu bardzo wdzięczny za opublikowanie mojego wyjaśnienia: — Nie jestem socjologiem, nie jestem kierownikiem żadnego rządowego zespołu, ani nie zajmowałem się badaniami nad problemami adaptacji imigrantów w Australii. Prawdopodobnie pomyłono mnie z kim innym. Natomiast jestem istotnie autorem książki „Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940”, prowadziłem i prowadzę badania nad historią emigracji polskiej w Australii, ale jest to moja inicjatywa całkowicie prywatna.

Zamieszczony pod wyżej wspomnianą notatką fragment jest przedrukiem mojego artykułu „O książkach i czytelnikach”. Artykuł ten napisałem na zamówienie p. Romana Gronowskiego, redaktora „Tygodnika Katolickiego”, którego jestem stałym współpracownikiem. Ukazał się on w „Tygodniku Katolickim” (Melbourne), dnia 28 listopada 1961, na str. 9. Do żadnego innego pisma, ani w maszynopisie ani w formie drukowanej, artykułu tego nie wysyłałem i o ile mi wiadomo nigdzie nie był przedrukowany.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Lech PASZKOWSKI

Londyn, 23 kwietnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem w marcowej „Kulturze” artykuł p. Kazimierza Okulicza o „cywilizacji jagiellońskiej”, zaskoczył mnie jednak jeden urywek, który przytaczam poniżej.

„Polska pańskość” i szlacheckość zbyt jaskrawo kontrastowały z masowym tłem ludności tych obszarów. Ani ta społeczno-obyczajowa „pańskość”, ani wyłączność lub przewaga polskiej kultury ostać się tam nie mogły. Młode i niewyżyte nacjonalizmy naszych pobratymców obróciły się w końcu XIX wieku przeciwko nam, przeciwko wspólnocie jagiellońskiej...”

Wydaje mi się, że tego rodzaju ocena sytuacji jest jednostronna.

Przeciwko wspólnocie jagiellońskiej obrócił się w pierwszym rządzie duch czasu. Na koniec XIX wieku przypada w tej części Europy początek rozkwitu nacjonalizmów obudzonych przez rewolucję francuską i w grę wchodzi tu nie tylko młode i niewyżyte nacjonalizmy naszych pobratymców,

ale w pierwszym rządzie nacjonalizm polski, który zaczyna myśleć nie kategoriami wielonarodowej Polski obejmującej Koronę i Litwę, ale wąskimi kategoriami Polski etnicznej. Ten polski (koronny) nacjonalizm nie tylko pragnął jak najszybszej polonizacji, może nawet pod presją, pobratymców, którzy, jego zdaniem, zamieszkiwali terytorium z polską przewagą etniczną, ale również obrócił się on przeciwko Żydom i tak powstał polski antysemityzm. Ten polski nacjonalizm odrzucał i zwalczał ideę jagiellońską. Ma się rozumieć państwa zaborcze włożyły dużo wysiłku w popieranie nacjonalizmów i rozbięcie wspólnoty jagiellońskiej. Duch czasu im dopomógł. Ostatnim dokonaniem wspólnoty jagiellońskiej było powstanie styczniowe.

Wysiłki Piłsudskiego w celu wznowienia wspólnoty jagiellońskiej spęłzył na niczym. Złożyło się na to wiele przyczyn. Między innymi Piłsudski lekceważył propagandę i właściwie tak Polacy jak i nie-Polacy nie byli zorientowani w jego zamiarach. Nawet Polacy litewscy nie rozumieli o co Piłsudskiemu chodziło. Najlepsze pióra służyły „Polsce dla Polaków”, a wspólnotę jagiellońską wydrwiwały. I tak ostatnia szansa wielkości została stracona, Polacy i pobratymcy dobrowolnie skazali się na małość.

A jednak istniały jeszcze pewne cechy wspólnoty jagiellońskiej. Cerkwie prawosławne opierała się na polskiej państwowości i duchowni prawosławni zachowali się lojalnie w okresie wojennej próby. Na Wileńszczyźnie z wyjątkiem biur obsadzonych przez napływowy element obowiązywała dwujęzyczność. W 39 roku na słupach telegraficznych wisiały karteczki z napisem: *Stalin sieryc Molat studić a Palszcz jak była tak budzić*. Warszawiacy wysłani jako instruktorzy A.K. na Wileńszczyznę lub Nowogród-czyznę nie mogli zrozumieć tego, że chociaż w służbie mówiło się po polsku, to jednak większość tamtejszych żołnierzy A.K. rozmawiała między sobą po białorusku. A jak ogromny procent ludzi, którzy w domu nie mówili po polsku, walczył w szeregach 2 Korpusu, mogą wiedzieć tylko ci, którzy wśród nich przebywali. Statystyki tego nie podają, temat zbyt wstydlivy, a szkoda, bo mnie się wydaje, że to jest powód do dumy. Jałta zadała ostatni cios wspólnocie jagiellońskiej.

Prawdą jest, że na terytorium byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego „pańskość” była polska, ale polskość wcale nie ograniczała się do „pańskości”. Wręcz przeciwnie, polskość schodziła w dół społeczne przez zubożającą szlachtę zagrodową i przez ubogich pobratymców rzymsko-katolickiego wyznania. Nie było polskiej wyłączności, polskość przechodziła i zlewała się z nie-polskością. Nie było żadnej wyraźnej granicy, a istniała symbioza, która powstała na skutek wieków współżycia. Tysiące ludzi ubogich po polsku modliło się lub rozmawiało od święta. Gdyby istniała wyłączność polskiej kultury i odizolowana „pańskość”, jakże mógłby „pan” Skirmuntt zostać prezesem Białoruskiego Komitetu Narodowego, jeżeli posłużyć się przykładem podanym przez p. Kazimierza Okulicza.

Pozwolę sobie na dygresję bardziej osobistą. Ojciec mój zatrudniał kilkunastu parobków. Wszyscy oni co do jednego mówili w domu po białorusku, a ich znajomość polskiego była dość ograniczona. Niektórzy z nich byli prawosławni, ale większość była katolikami. Nosili nazwiska rozmaite, od rdzennie polskich jak Dziewnowski do typowo białoruskich, jak Szakoła. Mimo to jednak wszyscy, z wyjątkiem jednego, są obecnie na Ziemiach Odzyskanych. Zjawisko to można częściowo uzasadnić względami ekonomicznymi, ale zasadniczo świadczy ono, że polskość sięgała nawet do najniższej warstwy społecznej.

Istniała poważna przewaga polskiej kultury, przewaga całkiem naturalna. Kultura polska przyciągała pobratymców i niektórzy nacjonalisci jak na przykład Litwini musieli się uciekać do metod administracyjnych, żeby tę atrakcyjność przełamać. Właśnie ta przewaga kulturalna pozwalała na

danie pobratymcom dużych koncesji terytorialnych i ekonomicznych bez obawy o utratę prestiżu polskości w nowej wspólnocie jagiellońskiej, która mogła powstać po pierwszej wojnie światowej. Znaczna większość Polaków od czasów pierwszej wojny światowej wspólną jagiellońską nie interesowała się. Zwyciężyło hasło „Polska dla Polaków”. Obecnie marzenia nacjonalistów spełniły się, jest Polska etniczna, ale też i satelicka. Biorąc pod uwagę trudne położenie geograficzne ilość rdzennych Polaków jest tak mała, że każda Polska etniczna będzie równocześnie Polską satelicką. Pobratymcy wyszli na tym jeszcze gorzej, bo nawet nie są satelitami.

I tak Dmowski szedł z duchem czasu, zwyciężył historycznie, opanował umysły Polaków, ale jego sława maleje. Piłsudski pozostał w odosobnieniu, przegrał walkę z czasem, ale rośnie jego legenda jako tego, który, po raz ostatni może, miał wizję wielkości i próbował wprowadzić ją w życie.

*Tertium non datur.* Albo narodowa małość na takim lub innym terytorium, w sferze Niemiec lub Rosji, albo ponadnarodowa wielkość. Polska dwudziestolecia, narodowa z przymieszką jagiellońszczyzny, jako skutek dwóch sprzecznych koncepcji była tworem sztucznym i nie mogła się utrzymać. Z przykrością należy przyznać, że Mołotow chyba miał rację określając Polskę jako *urodliwoje dietiszcze wiersalskawo dogowora*.

Po uporczywych staraniach trwających kilka wieków, dopiero w roku 1945 Rosja zdołała ostatecznie odebrać Polakom ideę jednoczenia terenów położonych między Rosją i Niemcami i zastosowała ją sama w swoistej formie. To czego nie zdołały dokonać zaślepione nacjonalizmy narodów dawnej Rzeczypospolitej, a w szczególności nacjonalizm polski, bo paraliżował ośrodek centralny, zostało doprowadzone do końca siłą zewnętrzną. Polska „państwo” i polska przewaga kulturalna odegrały w tym procesie małą rolę, *if any*.

Pozostaję z szacunkiem.

Zbigniew Sebastian SIEMASZKO

Chicago, 26.5.1962 r.

P. Marian Romeyko w nrze 12/170 „Kultury” z miesiąca grudnia 1961 r. w artykule „Jeszcze o pierwszych dniach Rzeczypospolitej” wspomina o planach Józefa Piłsudskiego z lata 1917 roku przedostania się poprzez front niemiecko-rosyjski do Rosji, gdzie wówczas formowały się polskie oddziały wojskowe z rozkładającej się armii rosyjskiej.

Potwierdzenie tego słyszałem z ust samego Piłsudskiego w roku 1923, w czasie odczytu, jaki wygłosił w Galerii Luksemburga przy ul. Senatorskiej w Warszawie. Zaniechanie tego planu tłumaczył wówczas względami na opinię swoich żołnierzy, którzy nie pogodziliby się z faktem opuszczenia ich przez komendanta w chwili, gdy oni szli za druty, do obozów internowanych, za odmowę złożenia przysięgi.

Piłsudski zatem dobrowolnie i świadomie przełożył pobyt w więzieniu niemieckim w Magdeburgu nad udział w formowaniu armii polskiej w Rosji porewolucyjnej. Wówczas, w drugiej połowie roku 1917, żołnierze rosyjscy pod wpływem agitacji bolszewickiej porzucali front, spiesząc się do domu, aby dzielić upragnioną ziemię. Całe uzbrojenie, artyleria, amunicja, tabory zapasy żywności pozostały na froncie bez niczyjej opieki. Żołnierze zabierali

Zagrożenie rzeczywiste stwarza dopiero wola użycia siły, celem dokonania „rewizji”, łącznie z faktycznym istnieniem takiej siły. Ani tej woli, ani tej siły NRF nie posiada. Polityka NRF w stosunku do wschodnich sąsiadów znajduje się *de facto* pod kuratelą Stanów Zjednoczonych, a nieliczna armia niemiecka pod kuratelą NATO. Nie istnieje możliwość wystąpienia Niemiec nie tylko zbrojnego, ale nawet politycznego bez uzgodnienia z mocarstwami zachodnimi. Niemcy w tej chwili nie są w stanie nawet planować samodzielnej obrony Berlina zachodniego, jakże w ich położeniu mogliby planować atak na Odrę i Nysę. W zaistniałym obecnie układzie sił twierdzenie, że 300-tysięczną armią niemiecką, nawet gdyby została podporządkowana całkowicie „rewizjonistom”, może zagrażać 20-milionowej armii bloku komunistycznego, zakrawa na groteskę.

Jak wiadomo komuniści, zarówno w postępowaniu na wewnątrz jak i na zewnątrz, nie wahają się posługiwać sloganami groteskowymi. Wystarczy przypomnieć, że w grudniu 1939 r. twierdzili, że „zagraża im Finlandia”, której cała ludność wynosiła zaledwie tyle co ilość mieszkańców jednej Moskwy, i że to Finlandia napadła na Związek Radziecki, a nie odwrotnie. W tej chwili Sowiety dążą do opanowania całych Niemiec „drogą pokojową” (tatyka „salami”); nikogo zatem kto zna ich metody nie powinno dziwić, że w tej chwili twierdzą, że to Niemcy zagrażają państwom „bloku socjalistycznego”. Dziwić się natomiast można, jak Polacy najlepiej obeznani z tymi metodami sowieckimi, zamiast dekonspirować je przed całym światem, mogą im jeszcze udzielać kredytu i poparcia.

Słysz się, że w przyszłości Niemcy mogą na nas napaść, bo napaadały już uprzednio. Bardzo możliwe. W przyszłości wszystko może się stać, albo nie stać, powtórzyć, albo nie powtórzyć. W przyszłości też może być każda umowa polityczna, lub formalne uznanie jakiejś granicy, dotrzymane, albo podeptane w strzępy jak niezliczona ilość umów i paktów międzynarodowych. Sowiety np. ze wszystkich umów, które zawarły od czasu swego istnienia, dochowały zaledwie 5%, a 95% podeptały. Ale nie chodzi przecie o to, aby własną i cudzą uwagę absorbować przeciwko komuś, kto w nieokreślonym terminie przyszłości może być, albo nie być, agresorem, tylko raczej przeciwko temu kto nim jest dziś i z całą pewnością będzie jutro. Ze komunistom zależy właśnie na odwróceniu tej uwagi jest rzeczą, naturalnie, zrozumiałą.

Prof. Bocheński wypowiedział jakże rozumną myśl w punkcie 3 swego listu. „Sprawa granic wydaje mi się tracić na ostrości w miarę, jak zbliża się scalenie Europy. Jeśli uda się nam wprowadzić w niej taki porządek, że każdy człowiek będzie mógł wszędzie żyć w wolności i rozwijać swoją kulturę, to problem przebiegu granic stanie się rzeczą całkiem drugorzędną. Za nieuzasadnione uważam więc podniecanie się sprawą granic zarówno u Niemców, jak i u Polaków”.

Podzielając w zupełności ten pogląd, tym bardziej wydaje się, że zarówno z moralnych jak taktycznych względów należałoby kierować całą energią mocarstw w tej chwili nie tyle na uznanie tej czy innej linii granicznej obecnego *status quo*, ile na uznanie *wreszcie* nagłości tego wspólnego dla wszystkich, nadrzędnego niebezpieczeństwa, które wisi nad nami od lat w postaci zagrożenia komunistycznego, a które jeżeli nie zostanie usunięte w porę, to nadzieja na scalenie Europy może okazać się tylko piękną mrzonką, nieurzeczywistnioną nigdy. Niestety, prymatu tej aktualnie wspólnej sprawy, ani ci Polacy ani ci Niemcy, których zaślepiła spór o „Odrę-Nysę”, zdają się nie dostrzegać, czy też nie uznawać.

Józef MACKIEWICZ